

MIEJSCE DLA „TRZECIEJ GENERACJI”

Twórca KAR-65 został już kreowany na kilkunastu bohaterskich szpalt gazetowych; mocno tym strofiony, zazywa kłopotliwej i tak nie poważanej w środowisku naukowym „popularności”. Inż. Jacek Karpiński musi chyba jednak wybaczyć dziennikarzom — wszystko wskazuje na to, że jego komputer najszybsza polska maszyna cyfrowa przyczynił się do rozwoju tych narzędzi, których tak potrzebuje nauka i przemysł, ośrodki dyspozycji i władzy. Słowem — cała nasza rzeczywistość gospodarcza; komputer dla niej może być kluczem do nowych zupełnie procesów jakościowych...

Jak to często w nauce się zdarza, sukces przychodził nie zawsze wtedy i nie zawsze tam, gdzie go się najbardziej oczekuje. Tym należy tłumaczyć, że nie tylko laikom, ale wielu wybitnym specjalistom trudno było uwierzyć, że w skromnym laboratorium, przy udziale minimalnego, co do liczby osób, zespołu, bez wielkich dotacji i bez opieki specjalnie do tych celów powołanego wysokiego urzędu, mogło powstać coś sensownego.

Poniżej drukujemy rozmowę z inż. Jackiem Karpińskim, który informuje nas o genezie KAR-65 i możliwościach rozwoju produkcji maszyny cyfrowych w Polsce.

— Dlaczego nie lubi Pan prasy?

— Kilka lat temu skonstruowałem dwie maszyny analogowe i wiadomość o nich przedostała się do gazet: powstał hałas, który mojej pracy wcale nie wyszedł na dobre. W takich przypadkach dziennikarze posługując się czymś „żywym przykładem”, zatawiają problem ogólny, a „przykład”, użyty jako ilustracja danej tezy, wolałby mieć spokój i czystą atmosferę wokół siebie, zamiast posadzeń o reklamiarstwo.

— Czy nie sądzi Pan, że „wprowadzenie w świat” swego dzieła, poinformowanie opinii publicznej i odpowiedzialnych tzw. czynników też należy do obowiązków konstruktora?

— Może nie tylko konstruktora... Mam nadzieję, że i tak KAR spełni swoją rolę, pobudzając inicjatywę — jeśli nie ludzi bezpośrednio odpowiedzialnych za stan techniki obliczeniowej, to w każdym razie tych którym zależy na efektach gospodarczych. I mam pewne podstawy do optymizmu w tej mierze...

— Jak należałoby przedstawić KAR-65?

— Jako uniwersalną elektroniczną maszynę cyfrową średniej wielkości ze zdolnością wykonywania do 100 tysięcy operacji na sekundę.

— Na czym polega ta uniwersalność?

— Można KAR-65 stosować m. in. do obliczeń numerycznych i do przetwarzania danych, co jest niezbędne dla zarządzania współczesną gospodarką, bo z tysiącami i milionami napływających informacji nie sposób poradzić sobie bez maszyny, jeśli chce się podjąć słuszną decyzję. Można też przy pomocy KAR-a sterować produkcją i można prowadzić obliczenia naukowe.

W świecie komputerów KAR należy do maszyn tzw. Trzeciej Generacji, chociaż został wykonany z materiału typowego dla Drugiej Generacji, na tranzystorach, nie na obwodach scalonych. Ale o przynależności do generacji decydują głównie rozwiązania logiczne i sposób korzystania z maszyny.

— Dlaczego zrobił Pan KAR-a z materiału „niegodnego” tej klasy?

— Proszę Pań, konstruowanie jest sztuką klejenia z tego, co się ma. Instytut Fizyki Doświadczalnej UW potrzebował maszyny matematycznej wewnętrzniego użytku do obliczeń naukowych. W roku 1965 import układów scalonych był prawie niemożliwy. Kierownictwo Instytutu zaproponowało mi — zrobienie maszyny z dostępnych elementów. Przyjąłem to z entuzjazmem, bo — po pierwsze, dawno już marzyłem o konstrukcji takiej maszyny, a po drugie, moje prace w Instytucie Automatyki nad percepc-

Jaki jest społeczny sens twórców naszej współczesnej „Kultury masowej”? Próba odpowiedzi na to pytanie jest poniższy tekst K.T. Toeplitza o radiowej „Rodzinie Matysiaków”, z cyklu zapoczątkowanego „Naszym człowiekiem w Abwehrze” („Kultura” nr 3). Następnymi pozycjami z tego cyklu będą artykuły o polskiej powieści kryminalnej i o serii telewizyjnej „Czterej pancerni i pies”.

Zwrot o „historii”, użyty w związku z odcinkową powieścią radiową „Rodzina Matysiaków” nie jest ani przesadny, ani metaforyczny. Przeciwnie — usprawiedliwia go zarówno rozległość tej powieści której początki sięgają z różną dalszemu niż lat wstecz, a której końca nie widać, jak i fakt że pisana z tygodnia na tydzień w oparciu o bieżące aktualności z ulicy i z gazety, „Rodzina Matysiaków” stała się zarówno zwierciadłem jak i częścią historii społecznej ostatniej dekady życia w naszym kraju. Widać, że ten wzgląd przede wszystkim każde zastanowił się bliżej nad osobą i dziejami Józefa Matysiaka i jego krewniaków, przylmierzając bowiem do „Rodziny Matysiaków” jakiegokolwiek kryteria natury artystycznej, musieliśmyśmy dojść szybko do wniosku, że mamy do czynienia z utworem niesławnym. Przekonanie to zresztą zdają się podzielać sami — anonimowi — autorzy gigantycznego słuchowiska nie dopuszczając nigdy do publikacji choćby fragmentu „Matysiaków” drukiem. Ta skromność odróżnia ich zarówno od autorów przedwojennej powieści radiowej „Dni powszednie

MIESZKAŃCY MASOWEJ WYOBRAŹNI

Historia wielkości i upadku Rodziny Matysiaków

Krzysztof Teodor Toeplitz

państwa Kowalskich”, Marii Kuncewiczowej, która wydała swe dialogi radiowy w dwóch kolejnych tomikach nakładem „Raju” jak i od twórców drugiej, ukazującej się równoległe z „Matysiakami”, lecz młodszej od nich, współczesnej powieści radiowej „W Jezioranach”, drukowanej w odcinkach w „Dzienniku Ludowym”.

„Matysiakowie” nie są literatura, nie są nawet być może zakomponowanym artystycznie słuchowiskiem radiowym są natomiast lub starają się być „samym życiem”, podsiuchanym przez radiowy mikrofon i utwalonym na taśmie magnetofonowej w całym swoim wyekwirowym, naturalistycznym natręctwie szczegółu, fragmentarycznej przypadko-

wości i monotoni charakterów głównych protagonistów.

1. Pochwała trwania

Jeśliby jednak ktokolwiek z wyliczonych tu, nie najbardziej przeciętne apetycznych cech formalnych „Rodziny Matysiaków” zechciał ukuć przeciwko sudydji łatwy zarzut, należy mu się przestroga; nie co innego bowiem, tylko te właśnie cechy tegy u źródeł zawrotnej kariery „Rodziny Matysiaków” w momencie jej narodzin, to znaczy w drugiej połowie lat pięćdziesiątych. Jest to paradoks niełatwy do wytłumaczenia. „Rodzina Matysiaków” zjawiała się w eterze w okresie, kiedy zarówno literatura jak i inne

dziedziny twórczości, na przykład film, zaczynały dopiero wydobywać się z mroźnego klimatu patetycznej fikcji. Niech nas przy tym nie zmylimy okoliczność że fikcja owa posługiwała się chętnie i programowo zwołaniem realizmu a realistyczne manieri i rekwiizyty były w cenie. mimo bowiem że powieść środowiskowa z kręgów robotniczych lub chłopskich uchodziła za obowiązującą wzorzec, główna jednak wskazówka, przyswiecająca wszystkim tym utworom był przemóżny i wszechobecny dydaktyzm, pozostający w konflikcie z realizmem. Jakkolwiek bowiem nie toczyłyby się losy poszczególnych bohaterów — owych realistycznych na pozór utworów — ich kres był z góry przesadzony i zmierzal do budującego dydaktycznego wniosku. Podobnie sama faktura realistyczna tych utworów podlegała ściślejszej reglamentacji, i to nie tylko w zakresie równowagi zjawisk pozytywnych i negatywnych wtapianych do „wrzającego tygła” narracji, ale także w zakresie wymowy faktów. Cecha każdego faktu, cytowanego w quasi-realistycznej powieści wczesnych lat pięćdziesiątych było to, że musiał to być fakt „wymowny”, znaczący, opatrzone światłopoglądowym podtekstem i stanowiący niejako figure spraw szerszych i nieporównanie bardziej doniosłych.

Revelacja „Rodziny Matysiaków” (gdy pojawiła się na antenie radiowej) było to, że udało się jej ominąć oba te kanony. Ponieważ w momencie jej początku nikt nie myślał o końcu zważano to autorów od konieczności konstruowania przemysłowych i znaczących punktów. Ponieważ odcinkowa powieść pojawiała się z tygodnia na tydzień, zważano to także poszczególne fragmenty od konieczności zabiegania o wymowę i głębię szczegółu. Otworzono po prostu kran z zdarzeniami, wiadomościami z gazety i ulicy, plotkami, aktualnościami chwili, pozwalając mu wydzielać wszelkiego rodzaju śmiecie bez krapki i zahamowań co sprawiło wrażenie rzeczywistego potoku prawdy.

Potokowi temu trudno nie stwarzała również żadnych trudności porządkująca myśl autorska. Wspomniiana tu przed chwilą powieść radiowa Marii Kuncewiczowej „Dni powszednie” do której powrócimy tu jeszcze, urywa się w chwili, gdy Kowalskim rodzi się dziecko: „Kowalscy zastali się Nasze biedne otóżki są już tylko rodzicami orła... Gdzież tu miejsce dla mnie?” Odczytuje Jaka nie tacyż nas może — mnie starego warszawskiego plotkarza z tym młodym hówcem?” — blizze w epilogu autorka („Kowalscy się odnaleźli”). A więc śmierć powieści o Kowalskich nastąpiła w momencie, gdy autorka, świadoma przedmiotu swej obserwacji, doszła do wniosku, że zobaczyła i zrozumiała już wszystko. Spowodował ją pierwiastek kryty-



Xawery Dunikowski przy pracy nad portretem Kochanowskiego
Czytaj artykuł na str. 10

